

Minęło sporo czasu i musiałem przyznać, że nazwanie tego miejsca nicością uszczęśliwiało mnie. Choć nie była tak doskonała jak ja, to spełniała swoją rolę. Dla mnie nie było tu nic wielkiego, ale dla kogoś, kogo tu nie było miejsce to spełniło najśmielsze oczekiwania.

Niczego nie można ode mnie oczekiwać. Wszystko każdemu spełniłem i dałem możliwości poszukania odpowiedzi. Nawet rzeczy, które nie miały własnego życia śmiało mogły poszukiwać odpowiedzi na wszystkie pytania. Niech jakkolwiek to zrobią, wówczas i ja im odpowiem na pytania tak jak na to zasługiwały. Nie mniej i nie więcej.

Przecudne światło dochodziło z Ander. Te małe punkty były po prostu unikatowe i nie było w nich niczego co psułoby ten piękny obraz.

- Och, jaka ta nicość jest piękna. Nic tylko się nad nią zachwycać. Chciałbym, żeby też ktoś zachwycił się tym, co stworzyłem, jednak kto mógłby to być?

Andery? Hormany? Notany? Kaloye? Nikt z nich. Zresztą jak zachwycić się może ktoś, kto nie potrafił samodzielnie myśleć? Z kim chciałbym dzielić się swoim dziełem? Kto był godzien oglądać to, co stworzyłem? Nie mógł to być ktoś, kto nie był świadomy swojego istnienia. Nie mógł to być również ktoś mądrzejszy ode mnie, bo nie będzie mnie wielbił.

Wiedziałem, że musiał to być byt, który miał własny rozum, był zdolny do podejmowania własnych wyborów i kierowania swojego życia w odpowiednim kierunku. Tylko jak miałby wyglądać ten byt?

Niech no tylko spojrzę na siebie. Ociekałem niebieskim. Miejscami byłem dymem, a gdzie indziej falą. Rozciągałem swoją doskonałość po granice nicości i jednocześnie potrafiłem się skulić do Anderu. Tam, gdzie pokrywałem nicość swoją osobowością, tam też czułem to co stworzyłem. Nie dostrzegałem tego, po co nie sięgałem, skoro wszystko, co najpiękniejsze, znajdowało się tuż pode mną. Czy inni mnie dostrzegali? Myślę, że ten, kto chciał doświadczyć mojej wspaniałości doświadczy jej, kiedy będę tego chciał. Nie mogę być na zawołanie. Jestem wyjątkowością, a nie codziennością.

Istota powinna mnie przypominać pod względem rozumu. Skoro miało to być moje najwspanialsze dzieło, to musiało myśleć samodzielnie. Dobrze, czas zacząć tworzenie istoty na moje boskie podobieństwo. Chociaż nigdy się nie zastanawiałem, z czego zostałem stworzony, to jednak moja istota powstanie z wszystkiego co znam.

Sprowadziłem wszystkie byty w nicości. Wziąłem Andery, Hormany, Hadrony, Kaloye, Bole, Loye, Notany i pomieszałem je z sobą. Cokolwiek z tego nie powstało i tak było wspaniałe, w końcu ze wspaniałości musiało powstać tylko coś wspaniałego. Postawiłem wielki zbiornik, w samym centrum nicości, gdzie wrzuciłem Kaloye. Spojrzałem do środka i wokół jego obrzeży powstało coś na kształt ciemności. Dziwne, tworzyłem je, jako przezroczyste twory, więc czemu teraz wytworzyła się ciemność?

Nie zastanawiając się nad odpowiedzią zgromadziłem hormany i wrzuciłem je tam. Otoczyły się wokół Kaloyów i dobrowolnie nie chciały się z nimi połączyć. Siłą swojego umysłu wymieszałem je i gdy to zrobiły powstało coś na kształt wielkiego zbiornika w zbiorniku. Niebieskie byty oddzielały te głodne od zbiornika.

– Mądre, musiałem przyznać, że jednak potrafiły samodzielnie myśleć i dostrzegać zagrożenie. Co jak co, zaimponowały mi, a rzadko kiedy coś mi imponuje.

Po chwilowym zachwycie wróciłem do pracy.

- Bole, przyzywam was i wpłynięcie do zbiornika łącząc się z pozostałymi bytami.

Zgodnie z moimi słowami Bole niczym wielki czerwony pierścień skupiły się wokół zbiornika i pojedyncze drobinki tam wpadały. Po dłuższej chwili znalazły się w środku i natychmiast wpłynęły do Kaloya. Nie tego się spodziewałem, ale po chwili rozsadziły duże Kaloye tworząc mniejsze. Mimo, że Boli było więcej to mniej miejsca zajmowały.

To czas na Notany. Tylko je ... Co też one wyprawiają!

Kto by pomyślał, że przyjdzie im do głowy, żeby pluć na siebie. Wyrzucają swoje niebieskie moce, niszcząc inne. No co za niedorozwinięte imbecyle!

- Dość! – Przez chwilę zapanował spokój, aż w końcu któryś z nich wybuchnął na mnie i cała walka rozgorzała na nowo. O nie, tak się traktować nie będziemy! Siłą zabrałem jednego z nich i wrzuciłem do zbiornika. To samo spotkało drugiego, co uspokoiło pozostałe. – Natychmiast do zbiornika! Wszystkie! Bez wyjątku!

Początkowo nie wiedziały jak się zachować, ale, kiedy im zagroziłem, co się stanie jak nie posłuchają, to pojedynczo dryfowały do środka. Zerknąłem do wnętrza zbiornika i w moje istnienie uderzyła fala niebieskiej plazmy. Już myślałem, że znowu któryś się zbuntował, jednak pochłonęły je Bole, a z tego połączenia powstała beżowa maź. Przejechałem częścią swego istnienia po niej i poczułem coś solidnego, ale jednocześnie mięsistego. Kiedy oddzieliłem jedną część od drugiej odniosłem wrażenie, że można ją kleić i formować nadając jej kształt.

Jeśli moja istota miała powstać, to musiała mieć formę gorszą od mojej. Musiała być skażona podrzędnością, upokorzeniem i nędzą, upośledzona częściową wiedzą i rozumem. Pobrałem część tej mazi i siłą swojego umysł zacząłem układać ją w formę życia.

- Jak ona mogłaby wyglądać?

Pomysłów miałem tysiące, więc po kolei zacząłem je wprowadzać w życie. Tworzyłem istotę na kształt długiego, rozciągniętego hormana i postawiłem ją na samym dnie zbiornika. Nie zdążyłem się nacieszyć jej istnieniem ponieważ natychmiast została wchłonięta przez Kaloya. Zniszczyłem go, przez co również i unicestwiłem istotę, która najwidoczniej nie była godna życia.

Utworzyłem kolejną istotę, która miała pierścieniowaty kształt. Położyłem ją na szczycie zbiornika, wówczas przechyliła się na zewnątrz. Nie pomagałem jej, bo sądziłem, że sama nauczy się dryfować i żyć, ale ona na przekór wszystkiemu nie myślała o ratowaniu siebie. Pozostawiłem ją samą sobie i niech spadnie na dno nicości. Jeśli jest tak niedorozwinięta, to nie zasługiwała na życie.

Po kilku próbach doszedłem do wniosku, że z tymi istotami coś było nie tak. To nie możliwe, żeby były aż tak głupie i bezmyślne, że natychmiast ginęły pożarte przez kaloya, czy spadały do notana, a potem z niebieską mazią leciały w odmętę boskiego i cudnego pomieszczenia. Co było z nimi nie tak?

Najwidoczniej nie mogły żyć w nicości. Powziąwszy tę myśl zaniechałem na jakiś czas tworzenia kolejnych istot. Wróciłem do tego przez przypadek, gdy spojrzałem na Kaloya i na jego zawartość, gdzie były Andery. Nie miały własnego życia, ale też nie gały.

- Może również powinienem tak spróbować z moimi istotami? Zamknąć je w pomieszczeniu, żeby rozwijały się po swojemu, przy okazji wielbiąc mnie za miejsce do życia, które im stworzyłem?

Czas stworzyć klosz, czyli miejsce z którego nie będą w stanie się wydostać, a do którego będę miał wgląd. Siłą swojego umysłu wykreowałem przezroczystą kulistą bańkę. Nie podobało mi się, że praktycznie nic w niej nie było. Pomachałem wirem powietrza i stworzyłem coś bardzo gorącego, co mnie ogrzewało, a im bliżej tego byłem, to wręcz paliło. Natychmiast sformowałem coś przeciwnego do tego i pierwsze nazwałem fara, a drugie nala. Uzupełniały się wzajemnie. Gdzie ciepło siało zniszczenie, tam zimno działało kojąco, a gdzie zimno niszczyło, tam fara pomagała. Obserwowałem to, bo chwilowo narodził się piękny taniec, którego nie chciałem przerywać. Zastanawiałem się dokąd on dojdzie i czy przyniesie coś dobrego dla tego klosza.

- Ach jaką piękną rzecz stworzyłem. Kolejna piękność, która jest godna samego mnie.

Po dłuższej obserwacji znudziłem się. Czas usadzić w niej istotę i sprawdzić, czy sobie poradzi. Utworzyłem stworzenie, które miało podłużną budowę ciała, a w jej środku zrobiłem wielką butę, jakby wyrosła jej góra na plecach. Wrzuciłem ją do klosza myśląc, że sobie poradzi. Jak bardzo się myliłem. Fara ją pochłonęła i po chwili zmieniła jej kolor na ciemny. Spojrzałem na nią, ale ona w ogóle nie funkcjonowała.

- Cóż za bezmyślne stworzenie, dlaczego nie żyła po swojemu?!

Skretyniały idiota, dobrze, że zginął. Nie był godzien wielbienia mojej boskości. Wykreowałem kolejną istotę, która podobnie do poprzedniej również miała podłużną budowę ciała, tylko mniej więcej w połowie długości ciała odchodziło coś na kształt rozciągniętego hormana, tylko, że w dużo mniejszej postaci.

- Nazwę to odnóza. Nazwa równie obrzydliwa, co wygląd tej istoty. Zobaczmy, co z niej wyjdzie.

Wrzuciłem ją do klosza i wylądowała w nali. Początkowo nie wiedziała, jak się tam odnaleźć. Ulegała nali, dając się ponieść w kierunku, w którym się poruszała. Raz, jak poruszyła odnóżami to odkryła, że może kontrolować nalę. Próbowała płynąć w przód i w tył. Machała odnóżami i im dłużej to robiła, tym sprawniej się poruszała.

Zasługiwała na moje uznanie. Takiego przebłysku rozumu się nie spodziewałem, jak na tak marną istotę.

I za wcześniej ją pochwaliłem. Dostłownie chwilę później wpłynęła do fary i szcerniała.

- Cóż za bezmyślne, marne, nikczemne, idiotyczne stworzenie! Jak można tak bardzo nie myśleć i nie widzieć, że skoro poprzednia istota szczała w farze, to również i ona tam zginie?!

Zaczyinałem wątpić, czy życie w kloszu będzie istniało. Jeśli każda z utworzonych przeze mnie istot będzie głupsza od poprzedniej, to wyjdzie, że wszystko co stworzę zginie. Okropieństwo, jak można być takim imbecylem?

Jak tym bezmyślnym bytom uprościć życie? Skoro ginęły w farze, to muszę ją oddzielić od nali. Przesunąłem farę w głąb klosza, a na zewnętrznych jej częściach pozostawiłem nalę. Nadal oddziaływały na siebie, ale fara już nie powinna zabijać moich istot.

Można przystąpić do tworzenia kolejnych kreatur. Teraz powinny się jakoś odnaleźć w tej nali. Zwłaszcza, że po przykryciu fary przez nią, uspokoiła się. Z kolejnej istoty pociągnąłem maź od środka w pięciu różnych kierunkach. Zginęła tymi odnóżami, a nawet próbowała coś łapać. Zachwyciłem się jej pięknem jeszcze przez chwilę, aż w końcu wrzuciłem ją do klosza. Wylądowała w nali i szybko zaadaptowała się do życia w tym miejscu. Pływała swobodnie, nawet robiła jakieś dziwne akrobacje, aż wypłynęła ponad nalę i ponownie się w niej zanurzyła. Wiedziałem, że się w niej odnajdzie. Pierwsza istota, która nie umarła, tylko żyła po swojemu.

- Nazwę ją ... gwiazda. Albo jeszcze lepiej ... rozgwiazda.

Stworzyłem kolejne rozgwiazdy i wrzuciłem je tam. Mimo, że miały do siebie spore dystanse, to i tak zaczęły ze sobą żyć. Gromadziły się w skupiska, gdzie każdy miał dokładnie wyznaczony cel. Odniosłem wrażenie, że zaczęły tworzyć hierarchie i jedna rozgwiazda była ważniejsza od innych.

Zastanawiałem się, jak sobie poradzą, kiedy spotkają inną istotę. W tym celu stworzyłem tuptaja, nazwa pochodziła od tego, że chodził po moim ciełe przebierając swoimi czterema odnóżami. Wyrastały z niego cztery odnóza i wszystkie były zwrócone w dół. Wrzuciłem go do klosza i chociaż początkowo miał problem z odnalezieniem się w nali, to po zrozumieniu jej specyfiki zaczął swobodnie pływać. Nie szło mu to tak prosto, jak rozgwieżdzie, co mnie zastanawiało, jednak uznałem, że jakoś sobie poradzi. Podobnie, jak w przypadku rozgwiazdy, również i teraz stworzyłem ich więcej i wrzuciłem w różne strony klosza.

Zauważyły to rozgwiazdy, które zbliżyły się do przykładowego osobnika. Obserwowały go z różnych stron, a część z nich wyłoniła się ponad nalę, aby dostrzec jego zakończenie, gdzie miał oczy.

Wtem zauważyłem coś dziwnego. Rozgwiazda natychmiast odsunęła się od tuptaja i zanurkowała w wodzie. Popłynęła do swoich i przekazała im co widziała. Wtem w stronę przybysza popłynęła chmara istot i gdy poszturchały tuptaja, wtedy pierwsza z rozgwiazd ugryzła go. Potem kolejna, aż na końcu wszystkie zaczynały go gryźć i ... zjadać.

- Imbecyle! Co wy wyprawiacie?!

Patrzyłem i niedowierzałem. Zjadały tuptaja żywcem! Polowały na niego, jakby to była przyjemność. Głośno krzyczał o pomoc. Wylewał się z niego czerwony płyn, który barwił się z niebieską nalą, aż w końcu zanikał. Po chwili nic z niego nie było, nawet czerwonego płynu. Nie rozumiałem czego właśnie byłem świadkiem. Było to przerażające i piękne zarazem. Zdenerwowałem się, gdyż zabiły moją wspaniałą istotę, lecz patrząc na to z drugiej strony zaczęły dostosowywać się do warunków w kloszu. Zachwycało mnie to i trwożyło jednocześnie.

Im dłużej przyglądałem się tuptajom, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że były bez szans. Ponosiły klęskę za klęską, a w niektórych miejscach miałem wrażenie, że czerwony płyn nawet nie chciał się połączyć z nalią. Liczba tuptai drastycznie spadła, a podobały mi się te istoty.

Należało coś z tym zrobić. Nie mogło być tak, że to istota niższego rzędu będzie decydowała o życiu w moim kloszu! Dlatego musiałem pomóc tuptajom, zanim wszystkie zginą. Przyjrzałem się im i zauważyłem, że one ani razu nie zanurkowały w nalię, jakby obawiały się czegoś. Nie robiły tego, nawet kiedy rozgwiazd nie było w pobliżu. – Dlaczego tego nie robicie? – Spytałem ich w myślach. Stworzyłem je najdoskonalszymi istotami, podobnie jak rozgwiazdy, a jednak one mają takie predyspozycje, a tuptaje już nie.

One się męczyły w tej nali. Pływały w niej, bo nie miały innego wyjścia. Należało stworzyć im miejsce specjalne dla nich. Jednak czym ono mogłoby być? Poszukując go przypomniałem sobie, jak pierwszy z nich tuptał po moim duchowym ciele.

Wróciłem do zbiornika, gdzie połączyłem hormony, andery i notany ze sobą. Powstało coś twardego, na co musiałem przyłożyć większej siły swojego umysłu, aby móc uformować z niego dowolny kształt. Niemniej ułożyłem coś na kształt stożka i włożyłem do klosza. Początkowo reagował bezwładnie na ruchy nali, ale od pewnego momentu utrzymywał się w niej. Nie zmieniał swojego miejsca i wręcz wyrastały z niego drobne nitki. Zaciekawili mnie. Były zielono brązowe. Brązowa barwa znajdowała się w grubszej jej części wewnątrz, a od niej odchodziło zielone zakończenie.

- Hmm, tego się nie spodziewałem.

Byłem doskonałą mądrością i powinienem to przewidzieć, ale prawda była taka, że nawet najdoskonalsza istota, jak ja, nie mogła kontrolować wszystkiego. Zwłaszcza życia, które wyrastały z rzeczy stworzonych przeze mnie.

- Nazwę te istoty – musiałem się głębiej zastanowić – rośliną. Wspaniała nazwa, godna mnie.

Moje rośliny rozwijały się dość szybko i opanowały mój stożek. Zastanawiałem się, jak będą reagować na tuptaja i tuptaj na nie. Położyłem go tam. Nie wiedział jak się zachować, przez co niepewnie stawiał kroki. Wyglądał, jakby obawiał się, że zaraz coś się stanie. Jeśli miał mnie wielbić, to musiało mu się to miejsce spodobać i liczyłem, że właśnie tak się stanie.

Po pierwszych obawach kolejne kroki stawiał coraz swobodniej, aż w końcu zachowywał się, jak rozgwiazda w nali. Skakał, tarzał się po miejscu (właśnie muszę je nazwać), rozciągał swoje odnóża i widziałem w nim szczerą radość. Czułem, że zrobiłem dobrą robotę dając go tam, na co on odpłacał mi się powiększaniem liczby osobników. Nawet nie zauważyłem, kiedy z jednego grona tuptaji zrobiło się kilka i podzieliły się przestrzenią stożka. Nie atakowały się nawzajem, a wręcz współpracowali ze sobą, jak rozgwiazdy w nali.

- W takim razie ten brązowy stożek nazwę domem.

To był ich dom, a ja byłem ich ofiarodawcą. Zaczną mnie kochać, tak bardzo, jak na to zasługiwałem.

Od tej chwili tworzyłem kolejne istoty do klosza, zarówno do nali jak i do domu, a nawet na przestrzeń znajdującą się między domem, a granicami klosza. Stworzyłem kilka stworzeń, które fruwały po tym obszarze. To wlatywały, to pikowały, nazwałem je rozloty, gdyż przypominały rozgwiazdy lecz miały cztery odnóża, a z piątego wyrastało coś na kształt twarzy zakończonej twardym szpicem. Zauważyłem, że istoty żywiły się pokarmem, który ofiarowały im drzewa. Myślałem, jak zwalczyć nadmierne ich zjedanie, bo wiedziałem, że cierpią, aczkolwiek rozumiałem, że to normalne dla klosza, że jedno zjadało drugie. Dlatego przestałem się już przejmować, gdy okazało się, że stworzyłem część drapieżników, które zjadały inne osobniki. Mimo wszystko jakoś funkcjonowały. Utworzyłem jeszcze kilka domów, które osobniki natychmiast osiedliły i żyły po swojemu.

Obserwowałem to życie i byłem z siebie dumny. Tylko taki geniusz jak ja mógłby coś takiego stworzyć. To jest wyczyn, za który należało mi się uwielbienie i wychwalenie, za boskość, którą reprezentowałem. Zatem wystarczyło poczekać, aż jej dostąpię.

Patrzyłem na życie w kloszu, zapominając, co się działo w nicości. Całkowicie mnie absorbował, ponieważ w ciągu kilku lat działo się tutaj więcej, niż przez całe eony w nicości. Ilość istot i powiązań między nimi potęgowała się,

dzięki czemu coraz rzadziej traktowałem je, jak jedną grupę. Każde z nich miało swoje odczucia, emocje, zdanie i nie raz wywoływało to kłótnie między pozostałymi osobnikami, ale póki się jakoś dogadywały i wszyscy byli szczęśliwi, nie ingerowałem w to.

Do czasu.

Widziałem, jak wszyscy byli szczęśliwi. Tuptaje rozmawiały z ironami (istoty podobne do nich, tylko na grzbiecie miały kolce), maraby (podobne do tuptaji, tylko ich odnóża kończyły się pazurami) z gowenami (turlające się kółki, które swoje odnóża wyciągały wtedy, jak traciły prędkość), czy ikaby (istoty z dłuższymi tylnymi odnóżami od przednich i skakały, zamiast chodzić) z wuwami (mają tyle sierści na sobie, że nie widać ich twarzy), jednak coraz bardziej irytowała mnie ich wesołość. Uśmiechały się, podskakiwały z radości i nie dostrzegały dzięki komu zawdzięczały życie!

Dawałem im czas, bo nikt nie był tak wybitny jak ja, żeby od razu wszystko widzieć, jednak nawet nie próbowały zrozumieć, dlaczego żyły. Nic, żadnych kroków, żeby rozwijać swoją wiedzę, odkrywać, dlaczego klosz wygląda tak a nie inaczej, dowiadywać się, czemu Tuptaje w nali są zjadane przez rozgwiadę, czemu jedne istoty fruują, a inne chodzą po domu.

Kompletnie nic! Tak, jakby gardziły moją wspaniałą osobą!

Zniszczę je! Zniszczę ten klosz i całe bezrozumne życie, które w nim stworzyłem. Co to za życie, które nie wychwalało mnie ponad wszystko?! Było nic nie warte! Ich wartość polegała jedynie na wielbieniu mnie, a nie na życiu zgodnie z warunkami klosza. Przecież to oczywiste, że jak się otrzymuje dar, to się za niego dziękuje.

Skupiłem wszystkie moce swojego umysłu, aby zniszczyć ten klosz. Nastąpiło kilkanaście potężnych wstrząsów tak, że cały klosz dygotał. Istoty traciły równowagę, życia fruujące spadały na dom, czy istoty w nali ponownie nie wiedziały, jak się w niej zachowywać.

Wzmagałem siłę wstrząsów, lecz jednocześnie dziwna myśl pojawiła mi się w umyśle. Odnosiłem wrażenie, że należało im dać drugą szansę. Nauczyć ich wielbienia mnie, żeby zrozumiały dzięki komu żyły. Wraz z pojawieniem się tej myśli siły wstrząsów słabły, aż w końcu całkowicie zgasły. Byłem zły na siebie, że nie byłem w stanie zniszczyć tego klosza, a jeszcze bardziej zły na te przeklęte istoty, że nie dostrzegały boskości, jaką im dałem.